

# Drobne kłopoty z hierarchiami

Co decyduje o wartości jakiegoś dzieła? Obecność w kolekcji prestiżowego muzeum? Nagrody krytyków i kuratorów? Kwota, za jaką dzieło powstało lub zostało kupione? Nazwisko artysty jako gwarant „jakości”? Ekwiwalent reklamowy? Frekwencja? Opinia urzędnika? Liczba lajków w mediach społecznościowych? Pochwały internetowych celebrytów wyrażone w nagromadzeniu epitetu „re-we-la-cyj-ne”? I w ogóle – dla kogo wartościowe? Gdyby Egipcjanin wybierał, czy meteor ma przywalić w piramidę Cheopsa, czy w Wawel, pewnie wskaże Wawel; warszawianin prędzej ocali Ogród Saski niż Księżę Młyn (chyba że uznamy to wszystko za wspólny dorobek cywilizacji, ale i to niepewna polisa). Film „Joker” mówi więcej o współczesności niż nowy mural na kamienicy, a obejrzało go pewnie więcej osób niż czytało „Biesy” Dostojewskiego. Ile milionów ma fanklub tego pisarza? Ilu czytelników będzie miała nowa książka poetycka Ryszarda Krynickiego, Justyny Bargielskiej, a ilu naszego felietonisty Macieja Roberta? Uff, czuję, że zapędziłem się w kozi róg.

No to jak to jest? Tzw. wartość obiektywna dzieła, jego doniosłość, przełomowość to jedno, a znaczenie dla tzw. odbiorców to drugie. Skoro kilkanaście tysięcy osób uczestniczy w show André Rieu i udaje, że umie tańczyć walca, to znaczy, że ta forma uczestnictwa w kulturze ma dla nich znaczenie – może nie warto jej negocjować i ustawiać w hierarchii niżej? Może do tych samych osób trafiłyby np. „Ulisses” Joyce’a – tylko nie każdy jego znawca potrafi go przybliżyć? Rieu czy Joyce – wybieram Joyce’a. Ale zamiast nadrobić braki w literaturze, wyszukuję w sieci mashupy, czyli połączenia dwóch piosenek (i ich wideo) różnych gatunkowo, co często jest komiczne. Albo: oglądam spektakl, premiera na jubileuszu teatru, ale rzecz z tych, o których po 10 minutach wie się, że już nas nie zaskoczą, że w ich formie nic się nie wydarzy. Na taki teatr proszę wykładać swoje kieszonkowe, a nie sięgać po moje (publiczne) albo na piśmie zapewniać, że nie zabierze mi on czasu – doczytałbym „Dramoletki” Bernharda w przekładzie Sławy Lisieckiej! Ale mówiąc to, czuję się jak bohater skeczu Mothny Pythona, wysublimowany krytyk, kiwający głową: „O, Bernhard, no taaak...”.

Poziomy zrównały się, kultura popularna transmituje wartości dotąd przynależne tzw. kulturze wyższej, w filharmonii grywa się twórczo potraktowaną ludowiznę. Rozszerza się pole tego, co „średnie”, ale wysokiego nie unieważnia. A jednak arcydzieła bywają samotne. Radek Stępień w swój spektakl „Kto zabił Kaspara Hausera” w Jaraczu wpisał i tę myśl: opisując (arcy)dzieła często tylko zagadujemy je, oddzielamy od bezpośredniego doświadczenia. Bo język, jak pisał noblista Peter Handke, ogranicza: nazwać to przykroić zjawisko do ram pojęcia, na które składają się inne słowa-pojęcia. Arcydzieła są samotne, gdy nie udaje się do nich zbliżyć i przełożyć je na praktykę naszego życia. No to jak to jest?

*Łukasz Kaczyński, redaktor naczelny "Kalejdoskopu"*

--

Wstępniak pochodzi a "Kalejdoskopu" 12/19. Pismo do kupienia w Łódzkim Domu Kultury, punktach Ruchu S.A., Kolportera, Garmond-Press w salonach empik i łódzkiej Księgarni Ossolineum (Piotrkowska 181). A także w prenumeracie (w opcji darmowa dostawa do wybranego kiosku Ruchu): [TUTAJ](#)

Możecie też słuchać naszych najlepszych tekstów w interpretacjach aktorów scen łódzkich, z Łodzią i regionem związanych na platformie "Kalejdoskop NaGłos": [TUTAJ](#)